



Tomasz Przewoźnik

Hikikomori

Hikikomori

Copyright © 2012 by Tomasz Przewoźnik

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.

Projekt okładki
Kinga Ochendowska
www.tylkoebooki.pl
Jacek Jarczok
www.jarczok.com

Foto
dreamstime.com
Jacek Jarczok
www.jarczok.com

Skład
Tomasz Przewoźnik

Redakcja
Natalia Bieniaszewska

Korekta
Agnieszka Drożdż

ISBN 978-83-272-3689-0

www.hikikomori.eu

Tomasz Przewoźnik

Hikikomori

Pszczyna, 2011 r.

Księga I

Gejsza

Dwóch dziesięciolatków spoglądało przez okno, jakby w dali chcieli dostrzec szare wzniesienia Beskidów, które czasami, przy dobrej pogodzie, majaczyły na horyzoncie. Jednak niższy z chłopców, Michał, nie patrzył na nic szczególnego, po prostu martwił się nadchodzącym dniem testów adolescencyjnych, które miały po raz pierwszy zdefiniować jego miejsce w społeczeństwie. Stojący obok Jonasz podejrzewał, o czym myśli przyjaciel, ale nie miał śmiałości zapytać. Wstydził się mówić o swoich odczuciach, próbował odsunąć lęk przed jutrzejszym dniem, a nade wszystko czekał, aż któraś z mam Michała zawoła ich na kolację. W brzuchu mu zaburczało, zerknął na kolegę z niecierpliwością i szczyplymi dłońmi przeczesał ciemną czuprynę.

Jako kuzyniec, Jonasz Hosala mieszkał z rodziną Gorsace od kilku tygodni. Lubił mamy Michała, Patrycję i Lidie, bo nie wtrącały się w nieswoje sprawy, ale mimo wszystko, odliczał dni do trzecich urodzin swojej siostry, Alicji, gdyż dzięki temu wydarzeniu nareszcie straci status jedynaka i nie będzie musiał się tulać po obcych rodzinach narzuconych przez Urząd ds. Społecznego Rozwoju.

– Chodźcie coś zjeść – powiedziała Lidia, otwierając drzwi. Oparła ręce na potężnych biodrach i gdy tak stała, czekając na reakcję chłopców, przypominała antyczną wagę. Wyszła dopiero, gdy dzieci ruszyły w jej kierunku.

Usiedli przy stole i zabrali się do pałaszowania smakolyków przygotowanych przez Patrycję. Jonasz lubił jej kuchnię, bo używała wielu naturalnych produktów, żadnych tanich syntetyków; od razu wyczuwał różnicę w smaku.

– Kocie, słyszałaś, że Andrzejewscy dostali dzieciaka z urzędu? – zapytała żonę rozbawiona Lidia, wymawiając słowa z włoskim akcentem. Jej ojciec był Polakiem, ale od dziecka mieszkała w Rzymie.

– Serio? Łukasz, taki twardziel, a strzela ślepakami? – drwiła Patrycja.

– Nie wiadomo czyja to wina.

– Monika ma już dwadzieścia pięć lat?

– No.

Projekt walki ze starzeniem się społeczeństwa zakładał posiadanie dziecka przez wszystkie młode pary, a jeśli któraś nie mogła lub nie chciała mieć swojego, brała udział w przymusowej adopcji. Na te ostatnie przyznawano rodzicom skromne dotacje i nieskromne obowiązki. W ten sposób ograniczono również napływ imigrantów – im więcej rdzennych pracowników, tym mniej obcokrajowców.

Znudzeni chłopcy wywracali oczyma, słuchając rozmowy mam. Po jedzeniu poszli do pokoju Michała, chwilę rozmawiali o jutrzejszych testach i w końcu poszli spać. Domowy komputer wyświetlił na okiennej szybie gwiazdy wraz z uśmiechniętym księżycem przygotowującym sobie posłanie z miękkich chmur.

Jonasz myślał o Alicji – zazdrościł jej, że nie zostanie kuzynicą i nie będzie musiała co kilka tygodni zmieniać domu, mieszkać w apartamentach rówieśników, tak jak on. Był zły na rodziców, że tak długo zwlekali z drugim dzieckiem, bo gdyby załatwili to szybciej, nie musiałby się tulać ze statusem jedynaka po obcych miejscach. Wiedział, że to dla jego dobra, ale mimo wszystko, miał im za złe, tym bardziej, że nie przepadał za kilkoma rodzinami, z którymi musiał mieszkać. Teraz jednak najważniejsze było, że ma Alicję i od czwartego roku jej życia nie będzie już w świetle prawa uważany za jedynaka. Siostra okazała się potrójnym prezentem – dla kraju, dla rodziców i dla niego. Na początku nie wiedział, co o tym myśleć. Niby fajnie, że miał siostrzyczkę, ale niekiedy wkurzał go brak zainteresowania rodziców w tych krótkich chwilach, gdy mieszkał z nimi. Kiedyś należeli tylko do niego, teraz musiał się nimi dzielić z siostrą i czasami czuł się niepotrzebny.

Wciąż nie mógł zasnąć. W ciszy nasłuchiwał płytkiego oddechu Michała, nie mogąc zmrużyć oka, w końcu wstał ostrożnie i podszedł do okna. Ta część Silesii nocą nie wyglądała zbyt imponująco, kilka latarni ulicznych migotało chaotycznie, co jakiś czas przejechał samochód. Niebo bezgłośnie przecięła pustulka, błyskając światłami – nocą transportowce latały na wyciszonych silnikach.

Jutrzejszy dzień nie dawał mu spokoju. „Czy wyniki testów mogą być złe? I co to znaczy: złe?” – myślał. „A co, jeśli mi się nie spodoba? Albo gdy następna szkoła nie będzie fajna?”. Z drugiej strony, nie wyobrażał sobie sytuacji, że to rodzice decydują o jego przyszłości albo on sam, ot tak, ma sobie wybrać odpowiedni zawód. Podobno kiedyś dzieci w najmniej odpowiednim

momencie życia musiały decydować o karierze, same wybierały szkoły i kierunki studiów bez wsparcia jakichkolwiek testów lub ze wsparciem testów nienadających się do niczego. Ludzie po omacku szukali swojego miejsca w życiu i nazywali to prawdziwą wolnością.

Czując, że sen coraz bardziej się oddala, zażył tabletkę uspokajającą i położył się do łóżka. Wiercił się pod kołdrą jeszcze przez kilka minut, aż wreszcie zasnął.

*

Dzieciaki wpuszczono do sali o godzinie dziewiątej. Złęknione, patrzyły na równo ustawione stoliki, na których leżały helmfony z goglami. Przywitał ich wszystkich dyrektor szkoły – sympatyczny grubas o nazwisku Sikora. Zacierał ręce, niczym szczęśliwy rzeźnik na widok półtuszy.

– Proszę, proszę, wchodźcie dalej – powiedział, oblizując się nerwowo i zachęcając uczniów ruchem ręki.

Wykonali polecenie i stanęli w szeregu.

Jonasz wytarł spocone dłonie o ubranie. W rogu sali zauważył panel kontrolny, za którym siedziała jakaś pani. Nieznajomy mężczyzna klęczał obok i grzebał w teczce. Twarz kolejnej osoby zasłaniał ekran komputera.

– Kochani! – Sikora złożył dłonie w piramidkę. – Jesteśmy już w komplecie, więc pozwólcie, że przedstawię wam komisję. – Na dźwięk ostatniego słowa osoby za panelem podniosły głowy. – Pani Joanna Mika jest neurotechnikiem i będzie czuwać nad testami. – Kobieta posłała dzieciom ciepły uśmiech. – Pan Mike Peters czuwa nad sprzętem. – A to pan Przemysław Osuch, jest gejszą i kieruje całym procesem. – Krótco ostrzyżony mężczyzna w szarym, prostym stroju pokłonił się dzieciom. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Przyglądał się po kolei uważnie każdemu ze zgromadzonych. – A mnie już znacie – dodał dyrektor. – Teraz podłączymy wam specjalne czujniki, a potem wylosujemy miejsca.

Sikora skinął zapraszająco w kierunku kobiety. Wzywała po kolei uczniów za parawan ustawiony w kącie i przymocowywała im tajemnicze, bezprzewodowe mierniki na przegubach dłoni i w okolicach serca. Ekran ścienny zajaśniał, wyświetlając listę nazwisk z przypisanymi numerami stolików. Dzieci ruszyły na poszukiwanie miejsc. Jonasz zauważył, że Michał nerwowo rozgląda się na boki, więc puścił do niego oko.

Hosala podniósł helmfon wyścielony oskubaną gąbką i poczuł obrzy-

dzenie na samą myśl, że musi założyć go na głowę. Zbliżył nos do wnętrza i zaraz tego pożałował, czując zapach niemytych włosów i widząc drobinki lupieżu. Przemógł się jednak i ze wstrętem nałożył urządzenie.

– Słyszycie mnie? – Z głośniczków dobiegał głos dyrektora. – Jeśli tak, to wybierzcie odpowiednią opcję.

Po chwili włączyła się pani neurotechnik i rozpoczęto testy.

Najpierw badano różne rodzaje inteligencji. Po dwóch godzinach Hosala miał już dosyć, gdy zobaczył kolejne elementy układanek, zadania matematyczne, zdjęcia, trójwymiarowe prezentacje. Do tego doszła muzyka i jakieś dziwaczne dźwięki. Były nawet testy, w których nie miał pojęcia, o co chodzi – wybierał odpowiedzi na chybił trafił. Do części zadań nie było pytań ani instrukcji, więc w pewnym momencie sam już nie wiedział, co właściwie robi... Wreszcie zarządzono przerwę. Zdezorientowany chłopak zdjął helmofon, pomasażował uszy.

Mike Peters rozstawił kamery i mikrofony. Osuch spokojnym głosem poprosił dzieci do siebie. Podzielił je na dwie grupy. Każdej wyznaczył zadanie do rozwiązania, dając na to godzinę. Jonasz przyglądał się oszczędnemu zachowaniu mężczyzny, który nie gadał jak inni dorośli i nie machał przy tym rękoma, a mimo to, wszyscy słuchali go z uwagą i wykonywali polecenia.

Michał został przydzielony do zespołu Jonasza. Zadanie wyglądało na banalnie proste: mieli opuścić na dywan długą, papierową rurę ułożoną na wyciągniętych palcach wskazujących. Rura musiała być przez cały czas prowadzona równoległe do podłogi. Zaczynali od wysokości szyi. Odgłos dzwonka sygnalizował zbyt duży przechył; wtedy powinni zacząć od nowa. Pewni szybkiego wykonania zadania, podzielili się na dwie grupy, stanęli naprzeciwko siebie, skierowali palce wskazujące do przodu i położyli na nich rurę. Zaczęli ją powoli opuszczać, ale ta od razu przekrzywiła się, nie wiadomo dlaczego. Rozległ się irytujący sygnał dzwonka. Spojrzeli zdziwieni, bo nie mieli pojęcia, co zrobili nie tak. Próbowali więc dalej i nawet śmiali się przy tym, ale wciąż nie potrafili wykonać zadania.

Po kilku podejściach Jonasz zauważył na twarzach rówieśników zdenierowanie. Niektórzy marszczyli brwi, inni szeptali coś pod nosem. Ciche mruczenie przechodziło płynnie w krzyk, gdy rura przechylała się po raz kolejny, jakby była potencjometrem regulującym frustrację.

Spoglądali na siebie podejrzliwie, gdy znowu coś poszło nie po ich myśli,

niektórzy patrzyli wyzywająco na sąsiadów. Doszło do nieśmiałych, bezosobowych oskarżeń: „Kto podnosi? Nie, znowu poszła do góry! Bez sensu”, ale po kolejnych porażkach byli już tak wściekli i zniechęceni, że nie owijali w bawelnę: „Tomek, nie podnoś! Nie podnoszę, to Ada! Weź się, to nie ja”.

Rura, jak na złość, przechylała się i wyglądało na to, że nie mają nad nią żadnej kontroli. Osuch obserwował wszystko spokojnie, niczym naukowiec oglądający pierwtotniaki przez mikroskop.

Jonasz szybko zrozumiał, że nie poradzą sobie w ten sposób, więc opuścił szereg. Ada spojrzała na niego, zaskoczona.

– A to tak można? – zapytała, patrząc na gejszę. Mężczyzna milczał, więc i ona stanęła z boku. Reszta próbowała dalej.

Gdy napięcie sięgało zenitu, Hosala starał się uspokajać członków grupy – jeszcze słuchali, ale nie wiedział, jak długo.

Michał chciał już zrezygnować, lecz zauważył, że gdy Jonasz się odsunął, rura przez chwilę zachowywała stabilność. „Czyżby to była jego wina?” – pomyślał, ale po chwili konstrukcja znowu zaczęła taniec na palcach dzieci, wywołując niezadowolenie. Jednak ta obserwacja nasunęła Michałowi pewien pomysł.

– Przesuńmy się na skrajne końce! – krzyknął.

Jonasz zrozumiał zamysł przyjaciela, więc jeszcze raz pomógł uspokoić uczestników i ustawić ich odpowiednio. W końcu zapanowali nad chaosem i gniewem. Rura zyskała na stabilności, choć i tak nie dali rady jej położyć. Ścieśnili się jeszcze bardziej.

– Lepiej. Niech zostaną po dwie osoby przy każdym końcu – powiedział Michał.

Przez chwilę nikt nie chciał odejść, jakby taki czyn wykluczał z udziału w zbliżającym się sukcesie. Czas nieubłaganie płynął, znowu zaczęli krzyczeć, więc Michał odstepił pierwszy. Kilkoro dzieci poszło niechętnie za jego przykładem. W końcu zostały tylko cztery osoby. Wszyscy wiedzieli, że są blisko ukończenia zadania. Zostało tylko kilkadziesiąt sekund, ale znowu konstrukcja się przechyliła.

– Wiem! – krzyknął jeden z chłopców. Podszedł i uśmiechając się, włożył wyprostowany palec do środka rury.

Ada zrobiła to samo z drugim końcem. Pozostali spojrzeli na nich zdziwieni, a potem niepewnie odstepili. Dziewczyna z chłopakiem zaczęli powoli

opuszczać rurę, a Michał dyrygował ruchem. Wszyscy patrzyli zafascynowani i nie mogli uwierzyć w prostotę rozwiązania. Gdy zostało trzydzieści centymetrów do podłogi, Osuch krzyknął:

– Czas minął!

– Niee! Jeszcze mamy kilka sekund! To niesprawiedliwe! – Dzieciaki wrzeszcząc, otoczyły mężczyznę. Gejsza obserwował wszystko spokojnie. Jonasz pomyślał, że to jest część testu, więc milczał. Na chwilę spotkali się wzrokiem; gdy chłopak zobaczył lodowaty spokój Osucha, speszony uciekł spojrzeniem gdzieś w bok. Gwar w końcu ucichł.

– Świetnie sobie poradziliście – powiedział gejsza. – Jestem z was dumny.

„Przecież nie zdążyliśmy” – pomyślał Jonasz, ale nie mieli nawet czasu na podsumowania – kazano im wsiąść do autobusu stojącego przed szkołą, co szybko zrobili.

Ruszyli w nieznanym kierunku. W czasie jazdy dyskutowali zażarcie nad zadaniem, śmiali się i przedrzeźniali. Po kilkunastu minutach dojechali na miejsce.

Budynek wyglądał jak wielka hala sportowa. Podzielono ich na mniejsze grupy i zaprowadzono na kolejne testy. Tym razem badano motorykę, szybkość reakcji, siłę, wytrzymałość. Podłączeni do czujników, pędzili po bieżni, grali w jakieś dziwne gry, podnosili ciężary i robili mnóstwo innych rzeczy. Nie mieli nawet czasu pomyśleć. Przerwy były krótkie, a podczas nich byli dokładnie pilnowani, co chwilę piszczały czujniki – gdy jakiś wskaźnik spadł lub podniósł się, obsługa kazała im ćwiczyć albo odpoczywać. Oblepiony wstrętnym, przepoconym dressem, z oczyma zalewanymi szczypiącym potem, Jonasz dawał z siebie wszystko, jakby od tego zależał los świata. Ze zmęczenia już nawet zaczął się potykać...

Po kolejnych dwóch godzinach wykończone dzieci odwieziono wreszcie do szkoły. Hosala milczał, pustym wzrokiem patrzył na kolegów i koleżanki. W stołówce próbował coś zjeść, ale nawet nie czuł głodu, więc tylko skubnął kilka potraw, jednak z radością wypił dwie szklanki napoju. Marzył tylko o jednym – wygodnym łóżku.

Patrycja czekała na nich przed szkołą. Chłopcy weszli do samochodu i opadli ciężko na siedzenia.

– I jak? – zapytała z troską. – Wszystko w porządku? – Poprawiła Mi-

chałowi włosy. Strasznie tego nie lubił, ale nawet nie miał siły odsunąć jej ręki.

– Tak – odpowiedział cicho i wcisnął się w fotel. Zasnął po kilku minutach.

Jonasz patrzył tępo przez okno.

*

Jeszcze nigdy nie widziała chłopaków tak wykończonych. W garażu budziła ich z ciężkim sercem i już na wstępie powiedziała, że nawet nie muszą się myć, tylko mogą od razu wskoczyć do łóżek. Przespali spokojnie całą noc.

Rano doszła do wniosku, że pozwoli dzieciom odpoczywać do południa. Nie chciała ich budzić, choć korciło ją, żeby wpaść do pokoju i rzucić choćby krótkie: „Jak było?”. Czas włókl się nieznośnie. W końcu, gdy usłyszała głosy w ich pokoju, nakryła do stołu. Do przygotowania posiłku użyła, jak zwykle, wyłącznie świeżych składników, przyniesionych przez dostawcę – jakiegoś obcokrajowca. Nie lubiła odbierać od nich przesylek, denerwował ją ten ich wymuszony uśmiech. Tak samo, jak obce twarze, kolory skóry i nieznanne języki. Wielu emigrantów pracowało dla mieszkańców Silesii, którzy woleli zamknąć się w czterech ścianach i nie wychodzić bez potrzeby. Większość autochtonów mogła wykonywać swoją pracę w domu. Wynajęte z agencji osoby (najczęściej byli to przybysze z państw aspirujących do Unii Europejskiej lub z niej wydalonych) dostarczały jedzenie i załatwiały podstawowe sprawy. Patrycja czuła dziwną obawę, gdy obserwowała obcych ludzi zachowujących się tak, jakby byli u siebie. Bardziej niż ona, która знаła przecież tutaj prawie każdą dziurę. Wiedziała, że to głupie. „Oni są tu tylko warunkowo, ja stąd pochodzę” – pomyślała, ale po zamknięciu drzwi jeszcze przez jakiś czas czuła niepokój.

Chłopcy usiedli do późnego śniadania i na wyścigi napchali buzie kanapkami, a potem, żując powoli, nakładali resztę smakolyków na talerzyki.

– Fajnie było – powiedział w końcu Michał, najpierw głośno przelknąwszy.

– No, ale jak ty jesz? – matka nie mogła darować sobie upomnienia. Pokręciła głową z dezaprobatą. – Dokąd tak pędzisz? Dzisiaj macie wolne.

Chłopak napił się i odsapnął chwilę, po czym obaj z Jonaszem zaczęli na zmianę opowiadać o przebiegu egzaminów. Przekrzykiwali się, wtrącając co jakiś czas: „Albo to, albo to!” i relacjonowali kolejną śmieszna sytuację.

Michał żywo gestykulował. Patrycja dawno nie widziała ich tak podekscytowanych. Najbardziej rozbawili ją opowieścią o zadaniu z rurą. Poglądziła syna po ramieniu, gdy usłyszała, że to właśnie on wpadł na właściwe rozwiązanie.

Nadszedł weekend, a oni nie mogli doczekać się wtorku – wtedy miały przyjść wyniki testów. Chodzili bez celu po chronionym osiedlu, oglądali nowe samochody sąsiadów, rzucali kamieniami w budkę strażników i znikali za rogiem bloku, chichocząc. Oglądali filmy, grali w gry, na wszelkie sposoby walczyli z nudą i udawali jeden przed drugim, że wyniki testów w ogóle ich nie obchodzą i choćby nie wiem co, to jednak zawsze będą przyjaciółmi. A nade wszystko – bali się.

W poniedziałek poszli do szkoły, nie tyle z obowiązku, co raczej po to, żeby czas szybciej minął. Mieli czterogodzinny blok ćwiczeń z komunikacji asertywnej.

Na przerwie wspominali z rówieśnikami przebieg testów, wyśmiewali wpadki kolegów i koleżanek. Wszystkim zapadła głęboko w pamięć osoba gejszy – jego nic niemówiący wyraz twarzy i wzrok, którym rejestrował wszystko, co działo się na sali. Na samą myśl o tym człowieku, ciarki chodziły Jonaszowi po plecach. Szydzili po cichu z dyrektora Sikory, który usłużnie skakał wokół członków komisji. Ale za tą zasloną złośliwości, Jonasz wyczuwał w kolegach zdenerwowanie.

W końcu przyszedł wtorek. Michała i jego kuzyńca obudziła krzątająca Lidia, która szykowała się do pracy. Po jej wyjściu próbowali zasnąć, ale nie byli już w stanie. Leżeli dalej w ciszy, z zamkniętymi oczyma, i nie mieli nawet śmiałości, żeby obrócić się z boku na bok. Jonasz czuł, że to najdłuższe godziny w jego życiu. Tak nie męczyło go nawet oczekiwanie na narodziny Alicji.

– Wstawajcie, nie udawajcie, że śpicie – powiedziała Patrycja, wchodząc do pokoju. Wskoczyli z łóżka momentalnie.

Na wyjściu uruchamiali osobiste komputery, zasłaniając widok przed Patrycją i sobą nawzajem. Kobieta wyszła z pokoju, po czym znowu weszła, jakby nie wiedziała, co zrobić, gdzie się podziać. Jonasz nie mógł trafić w ikonki na ekranie.

– Mam! – powiedział Michał pierwszy. Chwilę czytał po cichu i przeglądtał tabele, z których niewiele rozumiał. Wykresy, słupki, trójwymiarowe schematy zachowań i relacji z rówieśnikami. Przewinął szybko do końca ra-

portu, gdzie znajdowały się rekomendacje do dalszego rozwoju. Serce waliło mu szaleńczo. Znalazł! – Menedżer: klasa czwarta. Inżynier: trzy...

– Bardzo ładnie – ucieszyła się Patrycja, klaszcząc w dłonie. – Gratuluje. – Ucałowała syna w czoło, po czym zapytała kuzyńca: – A ty jak?

– Hmm. – Jonasz podrapał się po policzku. – Lekarz: pięć i dwa. Pielęgniarcz: cztery i... gejsza.

– Lekarz, super – powiedziała Patrycja.

Uśmiechnęła się niepewnie, jakby chciała coś jeszcze dodać. Ogarnęła ich cisza niedopowiedzenia. Michał spoglądał to na matkę, to na przyjaciela, w końcu powiedział:

– Ostro. Pokaż. – Złapał komputer kuzyńca, przez chwilę czytał, po czym podniósł głowę. – Na serio, ma napisane: gejsza. Jonasz będzie gejszą! Jonasz będzie gejszą! – zaczął podśpiewywać.

– Zamknij się, maminsynku! – Hosala wyrwał Michałowi komputer.

„Zdrajca, przy mamuśkach zawsze mu odbija!” – pomyślał.

– Chłopcy, przestańcie! Jonasz zostanie lekarzem, prawda?

– Przecież wiadomo – mruknął nadąsany – że nie gejszą.

To były te momenty, gdy nie marzył o niczym innym, jak o powrocie do domu. Swojego domu.

*

Tego samego dnia po południu, Patrycja odwoziła Jonasza do mieszkania Hosalów. Chłopak spoglądał na mijane samochody i zastanawiał się, jak zareagują rodzice na wyniki testów. Pewnie będą dumni z tego, że zostanie lekarzem. Już zdecydował.

Długo ich nie widział i tęsknił. Oczywiście za Alicją również – z uśmiechem na twarzy zastanawiał się, czy znowu będzie go unikać na dzień dobry. A gdy już siostrze przejdzie, to Jonasz pewnie zacznie gonić ją po mieszkaniu, wykrzykując idiotyczną rymowankę:

– Czego boją się niedźwiedzie?

Ona wysepleni:

– Że ich nie bęzie na obiedzie!

Najbardziej jednak cieszyły go nadchodzące wakacje oraz to, że już nie jest jedynakiem. Super było mieszkać z Michałem i jego mamami, szczególnie z Lidią mówiącą z tym śmiesznym akcentem i marszczącą nos, gdy widziała, że znowu nikt jej nie rozumiał. Jednak nie wszystkie rodziny były

takie fajne. Nie, w żadnej nie wydarzyło się nic złego. Po prostu niektóre były jakieś takie... byle jakie, nudne albo serwowały niesmaczne jedzenie, czasami ktoś z domowników chrapał...

Jedno nie dawało mu spokoju. Dlaczego rodzice nie próbowali się z nim skontaktować? Czyżby zapomnieli, że dzisiaj miał wyniki testów? Przecież jeszcze w sobotę mówił im o tym, gdy zadzwonili. Może szykują jakąś niespodziankę? Może nawet podwójną imprezę – ze względu na testy i na urodziny Alicji? Złożył e-okulary. W przeciwieństwie do większości kolegów, nie nosił ich przez cały czas. Soczewki uważał za niewygodne. Wkurzały go nachalne reklamy nakładane na świat widzialny, a nie stać go było na porządną blokadę. Otworzył skrzynkę pocztową – zero wiadomości. Milczenie rodziców coraz bardziej go niepokoiło.

Samochód dojechał na strzeżone osiedle, gdzie mieszkali Hosalowie. Pokazali strażnikowi przepustkę i zaparkowali obok bloku.

– Kiedy nas odwiedzisz? – zapytała Patrycja, wyjmując z bagażnika torby z rzeczami chłopca. – Chociaż teraz już nie musisz, to jednak bardzo byśmy się ucieszyli.

– Jeszcze nie wiem. Ale na pewno odwiedzę.

– No to życzę ci udanych wakacji. Cześć. – Ucałowała go w policzek, aż się zarumienił. – Pozdrów rodziców.

Wsiadła do samochodu. Czekał, aż wyjedzie z parkingu, a potem wytarł twarz i ruszył do mieszkania.

Wyszedł z windy naprzeciwko drzwi. Gdy złapał za klamkę, czytnik linii papilarnych uruchomił zamek, który szcęknął cichutko. Wszedł do środka i wyczuł lekki zaduch. Wszędzie panował półmrok, okna były zasłonięte. Automat włączył światło w przedpokoju.

– Cześć! – krzyknął Jonasz, stawiając bagaże.

Cisza. Na panelu komunikacyjnym ktoś widocznie zostawił informację, bo czerwona lampka migąła niecierpliwie. Zawiedziony, poczłapał do niego i puścił wiadomość.

– Cześć, Jonasz! – Zobaczył na ekranie zmartwioną twarz mamy. – Przepraszamy, że nas nie zastałeś, ale właśnie wychodzimy do szpitala. Alicja zachorowała... – Głos jej się załamał, opuściła głowę. Po chwili zaczęła mówić dalej, ostrożnie dobierając słowa i robiąc długie przerwy. – Nie wiadomo, co to. Lekarze ją badają. Przyjechaliśmy tylko po rzeczy i wracamy do niej. Za-

dzwoń, jak już będziesz w domu. Jedzenie jest w lodówce.

– Kornelia, kurczę, chodź już – usłyszał zniecierpliwiony głos ojca dobiegający zza kadru. Kobieta zniknęła, a jej miejsce zajął tata. – Cześć, Jonasz. Odezwij się, jak wrócisz. Aha. Gratulujemy wyników testów. Na pewno są niezłe. – Mężczyzna uśmiechnął się, ekran zgasł.

Jonasz stał bez ruchu i patrzył tępo na panel. „Jak to: chora?” – pytał w myślach. „Na co chora?”. Wybrał numer mamy, ale jej telefon nie odpowiadał. Z tatą również nie mógł się połączyć. Strach zagarniał umysł chłopca coraz bardziej, w gardle rosła jakaś ciężka gruda, a mieszkanie wydawało się coraz większe i ciemniejsze. W końcu ruszył do kuchni i otworzył lodówkę, ale zaraz cofnął rękę. „Co ja teraz zrobię?” – zastanawiał się, bliski płaczu.

Wrócił do panelu i pociągając nosem, uruchomił klimatyzację. Wcisnął przycisk podnoszący żaluzje i poczuł na skórze ciepło wpadających do mieszkania promieni słońca. Światło wypędzało nie tylko ciemność z kątów pomieszczenia, ale również lęk z jego umysłu. Gruda w przelyku rozpuściła się.

W kuchni wyjął jedzenie i usiadł przy stole. „Rodzice pewnie nie chcieliby, żebym stał się teraz problemem” – pomyślał, jedząc powoli. „Pewnie chcieliby, żebym się rozpakował. Jak włączą telefony, to będą wiedzieć, że dzwoniłem i się odezwą”. Wszystko wracało powoli na swoje miejsce. Nie pozostało mu nic innego, jak cierpliwie czekać.

Mama zadzwoniła wkrótce. Przejętym głosem opowiedziała, że lekarze nie wiedzą, co jest Alicji i że jeszcze trwają badania. Za godzinę mieli wrócić do domu, bo na razie i tak nie są do niczego potrzebni w szpitalu. Testy będą trwały długo, a mała śpi w specjalnym pomieszczeniu, podłączona do czujników i sond. W tej chwili jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, ale współczynnik statystycznej dwunastomiesięcznej przeżywalności Azurowa spadł dziwnie nisko. W końcu Kornelia rozłączyła się.

Po chwili odezwał się tata. Uspokoił chłopca, mówiąc, że matka jak zwykle przesadza i że będą w domu najpóźniej za godzinę.

– A jak tam wyniki testów? – zapytał ojciec na koniec.

– Nieźle. Choć trochę dziwnie...

– Albo wiesz co, opowiesz nam wszystko, jak wrócimy. Cześć.

– No dobra – powiedział cicho, choć wiedział, że mówi w próżnię.

Rozpakował torby, chwilę pograł w gry, ale w końcu i one mu się znu-

dzily. Uruchomił komputer i przeglądał wyniki testów. Niektóre wskaźniki nic mu nie mówiły, więc poszukiwał odpowiedzi w Overnecie. Czytał po cichu.

Od czasu do czasu zerkał na komputerowy zegar. Minęła godzina, a rodziców ciągle nie było. Wrócił do czytania. Sprawdzał ścieżki karier dla zawodu lekarza i pielęgniarza w kategoriach, jakie uzyskał na testach. Choć nie rozumiał wszystkiego, okazało się, że mógłby dojść do ciekawych specjalizacji, na przykład pielęgnować pacjentów przy pomocy nanorobotów.

Rodzice wrócili po trzech godzinach. Jonasz spał na kanapie w salonie, więc Adam podźwignął go delikatnie i zaniósł do sypialni. Uśmiechał się do śpiącego syna, którego nie widział od kilku tygodni, zazdrościł mu tej umiejętności głębokiego zasypiania byle gdzie. „Korzystaj, póki możesz” – pomyślał, patrząc z czułością na twarz dziecka. „Z roku na rok twój sen będzie coraz mniej spokojny, gdy życie zostawi w tobie swoje cholerne śmieci”.

*

– Cześć – przywitał się zaspany Jonasz, wchodząc rankiem do kuchni. Przyglądał włosy sterczące we wszystkie strony.

– Cześć, rozczochrana zapalko – odpowiedziała Kornelia i uściśliła go. Rzadko to robiła, więc przez chwilę stał bez ruchu, zaskoczony, po czym jednak przytulił się do matki.

„Chyba znowu schudła” – pomyślał.

– Hej – dołączył się Adam i pogłaskał syna po głowie.

Jonasz z zadowoleniem wdychał zapach wody kolońskiej taty. Czasami nawet mu ją podkradał i udawał przed lustrem dorosłego. Coś magicznego było w tej wodzie, jakby posiadała moc przemieniania chłopców w mężczyzn.

– Co z Alicją? – zapytał, gdy rodzice już go puścili.

– Nie wiemy. – Kornelia przygryzła dolną wargę i spoglądała nerwowo na męża. – Badają ją. Może po południu coś będzie wiadomo. Jedziemy tam po śniadaniu.

– Chcesz jechać z nami? – spytał Adam. Uśmiechał się, jak zwykle, ale Jonasz spostrzegł, że zmartwienie również odcisnęło na nim ślady i mógłby przysiąc, że tata jeszcze bardziej posiwił. – Opowiesz nam, jak testy i w ogóle.

– Pewnie, że chcę.

– No to weź prysznic, zjedz coś i jedziemy.

Mama chodziła po kuchni, szperając w szafkach. W końcu znalazła pu-

delko, otwarła i wysypała na dłoń kilka tabletek przeciwko socjofobii. Popiła je wodą. „Kiedyś brała mnie” – zauważył Jonasz. „Ale kiedyś nie musiała nigdzie wychodzić”.

Strażnik pomachał im, gdy czekali, aż otworzy się brama wyjazdowa. Kornelia skuliła się. Im większą część ulicy widziała, tym bardziej zapadała się w fotelu, jakby malała pod naporem świata zewnętrznego.

Powoli wyjechali na jezdnię i ruszyli. Wzdłuż drogi stały wysokie mury naszpikowane kamerami. Wprowadzali się, myśląc naiwnie, że dzielnice prywatnych osiedli to miejsca bezpieczne. Szybko zrozumieli, że spokojnie jest tylko za ogrodzeniem, ale już drogą i chodnikiem nikt się specjalnie nie interesuje. Firma ochroniarska specjalnie ustawiła kamery tak, żeby nie widzieć zbyt dużo. Czasem w odległości raptem kilku metrów od bramy dokonywano przestępstwa widocznego z okien budynków mieszkalnych, ale jakimś cudem nie na ekranach monitorów ochrony. Wtedy mieszkańcy, a nie ochroniarze, dzwonili na policję. Jeśli w ogóle ktokolwiek chciał się facygować.

Oczywiście były też bardziej bezpieczne osiedla, gdzie ochrona spisywała się lepiej, ale ze względu na zaporową cenę mieszkań w takich miejscach, Hosalowie mogli o nich co najwyżej pomarzyć.

W drodze do szpitala Jonasz zdał rodzicom relację z przebiegu testów oraz uzyskanych wyników. Z dumą patrzyli na syna, który opowiadał o tym, że może zostać lekarzem lub pielęgniarzem, wymieniał możliwe specjalizacje.

– A trzecia opcja? – zapytał Adam. – Zawsze podają trzy możliwości.

– Tak. – Chłopak chrząknął. – Mogę jeszcze zostać gejszą.

Spojrzeli zdziwieni, po czym ryknęli śmiechem. Po chwili Jonasz również zaczął się śmiać.

– Dobre – powiedział Adam, wycierając łzy z kącików oczu. – A poważnie?

– Poważnie.

Znowu popatrzyli na syna. Chłopak wiedział, że czekają na jakiś gest zdradzający, że to nieprawda, że to tylko żart, więc przybrał kamienną minę.

– Gejszą? – zapytała Kornelia z niedowierzaniem.

– Tak. – Na twarzy Jonasza wykwitł rumieniec, jakby zrobił coś wstydliwego.

– Dziwne – stwierdził tata. – Nie słyszałem, żeby którekolwiek z dzieci naszych znajomych miało taką opcję do wyboru.

– Ja też nie – powiedziała mama, spoglądając na niego nieobecny mi oczyma. Kolejna chemiczna fala załaza jej mózg. – Ale może po prostu nie mówili... – dodała kobieta ciszej.

– Bo o czym tu mówić – podchwycił Adam. – Dwadzieścia lat odcięty od świata z samymi chłopami. Ciulato.

Zaparkowali na przyszpitalnym parkingu i weszli do budynku.

W stróżówce siedział podstarzały ochroniarz. Adam pokazał mu przepustki. Facet popatrzył, pomachał leniwie zza szyby i podrapał łysinę, po czym wrócił do oglądania obrazów z kamer. Rodzice ruszyli szybkim krokiem na górę. Szli pewnie i bez wahania, jakby byli u siebie.

Jonasz mrużył oczy, oślepiony jasnym wnętrzem szpitalnych korytarzy. Patrzył z fascynacją na mijających go ludzi. Jedni w kitlach, inni ubrani normalnie, zapewne pacjenci i odwiedzający ich krewni. Było gwarно – słyszał kilka języków, nawet takich bardziej egzotycznych, chyba z Bliskiego Wschodu. Założył e-okulary i włączył napisy. Obserwował rozmowę lekarza z kobietą mówiącą po arabsku z dialektem palestyńskim. Wylewnie dziękowała za uratowanie zdrowia.

Podążał za rodzicami, ale co jakiś czas zatrzymywał się i zaglądał przez uchylone drzwi do pokoi, które mijali. Pacjenci leżeli w łóżkach, niektórzy obstawieni dziwaczny mi maszynami i monitorami. Większość uśmiechała się do niego, jakby dawno nie widzieli dzieci. Speszony, odwzajemniał uśmiech i biegł dalej.

– Zaczekaj tu – powiedziała Kornelia, wchodząc z ojcem do gabinetu lekarza.

Chłopak usiadł na krześle pod ścianą. Czekał pół godziny, po czym ruszył na pierwszy obchód w karierze, którą już zaczynał sobie powoli planować. Oglądał lekarzy pędzących gdzieś z elektronicznymi kartami pacjentów. Techników taszczących dziwny sprzęt. Pracowników w różnokolorowych kitlach, którzy rozmawiali ze sobą lub z rodzinami chorych. Wszędzie działo się coś, co przykuwało jego uwagę.

Wrócił na miejsce. Rodzice wyszli po kilkunastu minutach wraz ze szczupłym, wysokim mężczyzną, który wyglądał na doktora. Mieli smutne miny.

– Chodź – powiedziała mama i złapała Jonasza za rękę.

Lekarz poprowadził ich w głąb korytarza ciągnącego się za drzwiami

z napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Tutaj było spokojniej i spotykali głównie pracowników szpitala.

Doszli do przeszklonej sali. Jonasz wspiął się na palce i ze ściśniętym gardłem zająrzył przez szybę. Alicja leżała w łóżku nieruchomo, oddychała płytko i wyglądała tak bezbronnie... Jej skóra lśniła od zaschniętego żelu antyodleżynowego, w którym zatopiono bezprzewodowe czujniki. Zaczął je liczyć. „Dużo” – pomyślał, ale jak później się dowiedzieli od lekarza, to były zaledwie te zewnętrzne. Wewnątrz małego ciała umieszczono sondy i kolejne mierniki.

Kornelia bezwiednie ścisnęła dłoń chłopca, aż skrzywił się z bólu, ale nic nie powiedział. Po chwili puściła go i zalkała cicho. Ojciec patrzył smutnym wzrokiem.

– Cały czas szukamy – powiedział lekarz. – Jest stabilna, a życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, tylko że nie do końca wiemy, z czym mamy do czynienia.

„Piękne wakacje się szykują” – pomyślał Jonasz ze ściśniętym sercem.

*

Dni mijały na podróżach pomiędzy szpitalami, klinikami i gabinetami specjalistów. Nikt nie potrafił pomóc. Stan dziewczynki powoli, ale nieuchronnie, się pogarszał. Nie wiedzieli, czy działo się tak z powodu choroby, czy kolejnych wyniszczających terapii stosowanych w ciemno. Kornelia i Adam próbowali wszystkiego. Zaangażowali rodzinę, znajomych, nawet kuzynów Jonasza. Wszystko przynosiło mizerny skutek. Mama schudła jeszcze bardziej. Psychicznie też czuła się coraz gorzej – fobia pogłębiała się, lekarze podejrzewali, że zaczyna chorować na hikikomori. Z tatą również nie było dobrze – starszy Hosala chyba sam już nie pamiętał, kiedy ostatni raz się uśmiechał.

Nawet Jonasz rozmyślał całymi dniami, jak mógłby pomóc Alicji, ale jedyne na co wpadł, to nie przeszkadzać rodzicom, więc odsunął się w cień. Rzadko o coś prosił, chciał być jak najbardziej samowystarczalny, żeby przynajmniej z nim nie mieli problemów. Nauczył się przygotowywać podstawowe posiłki i wychodziło mu to coraz lepiej. Czasami nawet zostawiał późno wracającym rodzicom własnoręcznie przygotowane kanapki. Nasłuchiwał odgłosów ich powrotu, a potem zasypiał zadowolony, słysząc, jak rozmawiają o nim w kuchni. Mówili, że są z niego dumni i że tak szybko dorosłeje.

Podziwiali odpowiedzialność, a nawet przekomarzali się „po kim to ma”.

Od czasu do czasu jechał odwiedzić siostrę. Chciał częściej, ale wiedział, że w kolejnych klinikach będzie tylko przeszkadzał. Wracał przygnębiony. Alicja wciąż chudła, jej skóra nabrała niezdrowego, bladego koloru, a część włosów wypadła. W drodze powrotnej widok wyniszczonej cierpieniem dziewczynki nie chciał opuścić umysłu jej brata.

Odwiedzili nowy szpital, wybudowany przez jeden z domów gejsz pracujących dla Silesii. Przyjęto tam Alicję tylko dlatego, że placówka dopiero zaczynała działalność, docelowo miejsce to miało służyć raczej zamożniejszym klientom. Już samo wejście onieśmialo. Mocno zbudowany ochroniarz wylegitymował ich skrupulatnie i kazał przejść przez bramkę wykrywającą metal i niedozwolone substancje. Później wezwał kogoś z obsługi, kto miał pokazać im drogę do właściwego gabinetu.

Pielęgniarz poprowadził Hosalów czystym i pachnącym korytarzem. Minęli zaledwie kilka osób, nie tak, jak w szpitalach państwowych. Ten, bez wszędobylskiego gwaru, wydawał się Jonaszowi wręcz zimny. Znowu zaglądał do sal poprzez uchylone drzwi. Pokoje były przestronne i jasne, najczęściej jedyńki. Na szafkach stały kolorowe kwiaty, których widok kontrastował z surowością pomieszczeń. W jednym z pomieszczeń obok łóżka pacjenta siedział mężczyzna, który odwrócił się na dźwięk otwieranych drzwi, po czym zapytał:

– Jonasz?

– Tak – powiedział chłopak. Od razu poznał gejszę z komisji egzaminacyjnej. – Dzień dobry – wydukał i wyszedł.

Mężczyzna wstał i ruszył za chłopcem przez korytarz. Speszony Jonasz stanął za rodzicami.

– Dzień dobry – przywitał się gejsza. – Państwo jesteście rodzicami Jonasza?

– Tak – powiedział Adam zaskoczony. Nie kojarzył tego faceta o surowej twarzy. – Znamy się?

– Przemysław Osuch. – Skinął lekko głową. – Jestem gejszą. Egzamino-wałem waszego syna. Miło mi państwa poznać.

Kornelia kiwnęła głową nieśmiało.

– Uzyskał świetny wynik, gratuluje. Co państwa tutaj sprowadza? Czyżbyście zwiedzali kliniki, w których Jonasz mógłby w przyszłości pracować?

– zapytał, uśmiechając się samymi kącikami ust.

– Nasza córka ma tutaj badania – odpowiedział Adam.

– Ach. Przykro mi. – Mogliby przysiąc, że na twarzy mężczyzny zauważyli wyraz współczucia, co rzadko widywało się u gejsz. Stali chwilę w krepującej ciszy, w końcu Osuch powiedział: – Gdybyście państwo potrzebowali pomocy, proszę zapytać o mnie kogoś z personelu. Powodzenia. – Odwrócił się na pięcie i już miał odejść, jednak przystanął i dodał: – Albo dam państwu moją wizytówkę. – Wręczył Adamowi staromodny kartonik. – Do widzenia. Cześć, Jonasz.

Poszli dalej. Chłopak obejrzał się przez ramię.

Z pokoju lekarzy wyszedł starszy mężczyzna, uśmiechnął się i zapytał:

– Państwo Hosala?

– Tak – odrzekł Adam, już całkiem zdezorientowany.

– Dzień dobry, zapraszam do środka.

Rodzina weszła do gabinetu przypominającego stanowisko kontroli lotów – na ścianie wisiały dotykowe wyświetlacze z danymi pacjentów, a pod tym wszystkim rozciągał się wielki panel kontrolny.

Lekarz wskazał im skórzaną sofę, która musiała kosztować majątek, a sam przysunął sobie krzesło.

– Marek Jaśniewski. – Pewnie uściskał dłonie Hosalom. – Moi drodzy. Nie będę owijał w bawełnę. Wiemy, co dolega Alicji.

Kornelia wstrzymała oddech. Adam nie był pewien, czy chce poznać prawdę. Serce waliło mu jak szalone, cisza przedłużała się w nieskończoność. W końcu zapytał:

– Co?

– Jest to choroba wywołana przez bardzo rzadkiego wirusa.

– Ciężka?

– Poważna. Nie chcę was zanudzać szczegółami, wszystkie informacje dostaniecie pocztą elektroniczną. Najważniejsze jednak jest to, że możemy ją uratować.

Na dźwięk ostatnich słów Adam zamarł. „To brzmiało jak wyrok, jakby byli przeświadczeni, że...” – pomyślał ze zgrozą. Wkurzył się na obojętny ton lekarza. „Jak on śmie tak do nas mówić?”

– Czy to groźne? – zapytała Kornelia.

– Tak. Zazwyczaj prowadzi do... – Lekarz spojrzał na Jonasza.

– Do czego?

– Do zgonu.

Chłopak słuchał wszystkiego jak zahipnotyzowany, jakby oglądał film w supernowoczesnych goglach: niby wszystko było bardzo realne, ale jednak jakieś nierzeczywiste.

– I co teraz? – sapnęła Kornelia i ukryła twarz w roztrzęsionych dłoniach.

– W kraju tylko jedna klinika może podjąć się leczenia, ale jest ono... bardzo drogie.

– Ile?

– Dostaniecie państwo wszystkie informacje...

– Ale co mi pan tu pierdoli?! – Wściekły Adam patrzył na lekarza, zaciskając zęby. – Czy pan nie ma serca?! Mamy w takim stanie wracać do domu? Proszę nam natychmiast powiedzieć!

Lekarz niechętnie wyjął papierowy notes i napisał ołówkiem kwotę. Podał karteczkę Adamowi, który wybaluszyl oczy i zbladł. „W życiu tyle zarobię, nawet wspólnie z Kornelią” – pomyślał i wypuścił powietrze z głośnym westchnieniem. Spojrzał na syna załzawionymi oczyma. „Nawet gdyby Jonasz został lekarzem już teraz. To koniec”.

Znowu wracali samochodem w ciszy. Adam popatrzył na żonę – spała, nafaszerowana prochami. „Nie dam rady kolejny raz jechać do szpitala i słuchać takich rzeczy” – pomyślał, a serce podeszło mu do gardła. „Ona też nie da rady. Jak tak dalej pójdzie, to wszyscy wylądujemy w szpitalu. Wszystko się rozłazi, przecieka przez palce. To cud, że nas jeszcze nie wywalili z pracy”.

Zaparkowali przed blokiem. Adam obudził zamroczoną Kornelię i wspólnie z Jonaszem zaprowadzili ją do domu. Zwalila się do łóżka niczym kłoda, Adam jeszcze zdjął żonie buty i przykrył ją kocem. Ustawił ogrzewanie na neutralne, a potem wrócił do kuchni. Jonasz szukał czegoś w lodówce.

– Musimy być silni – powiedział Adam.

Chłopiec spojrział na ojca. Nigdy nie widział rodziców w takim stanie.

– Wiem, tato. – Posłał ojcu uśmiech i wrócił do przygotowywania posiłku. – Zrobić ci coś do jedzenia?

– Zrób, synu.

Adam usiadł i myślał: „A gdyby zaciągnąć kredyt pod zastaw mieszkania? I wszystkiego, co mamy? A potem jeszcze zapożyczyć się u rodziny.

Może by starczyło. I co z tego, że splącalibyśmy to przez całe życie. Najważniejsze, żeby Alicja żyła”. Ale tak naprawdę wiedział, że nie dostaną takiego kredytu, a rodzina nie pomoże, bo niby skąd mieli wziąć takie pieniądze? Nigdy nie należeli do bogaczy. Mężczyzna czuł, że zawiódł wszystkich. „Powiniennem wiedzieć, co zrobić!” – wyrzucał sobie nieustannie.

*

Kolejne dni upływały na gorączkowych poszukiwaniach źródła finansowania leczenia. Wieczorem rodzice siadali przy stole i tworzyli plan działań na kolejny dzień. Rano wyruszali do centrum. Wracali coraz bardziej załamani. Byli w kilkunastu bankach, rozmawiali z członkami rodziny, kontaktowali się ze stowarzyszeniami i fundacjami. Nic. W najlepszym wypadku, zebraliby połowę kwoty.

Jonasz wściekał się, że nie ma pojęcia, jak pomóc. „Gdybym był starszy, wiedziałbym, co zrobić! Coś bym wymyślił. Dlaczego tata niczego nie wymyślił?”.

Czasami budził się w nocy spocony, a pod powiekami uporczywie tkwił mu obraz wycieńczonej Alicji. Nie chciał zamykać oczu, bał się. Innym razem płakał cichutko, martwił się o siostrę, rodziców i siebie. Gdyby umarła, znowu musiałby mieszkać w cudzych domach, tulać się po obcych rodzinach. Nie lubił tak myśleć, ale nic nie mógł na to poradzić.

Pewnego popołudnia, pod koniec wakacji, gdy Kornelia płakała już prawie całymi dniami, Adam wrócił do domu dziwnie podekscytowany.

– Jest Jonasz? – rzucił, rozglądając się nerwowo.

– Nie ma, pojechał do Michała. – Żona pociągnęła nosem, przyglądając mu się ze zdziwieniem.

– Spójrz na to. – Wyjął z kieszeni list i podał go Kornelii. Czytała, wycierając mokre oczy. Usiadła.

– Skąd to masz?

– Było w skrzynce. Z okyia. Pamiętasz tego gejszę ze szpitala?

– Pamiętam. I co teraz? To przecież nie jest nasza decyzja.

– Może powinniśmy pokazać to Jonaszowi? – Adam ściszył głos, jakby sam nie był pewien swego pomysłu.

Spojrzała na męża i zacisnęła wargi.

– On się nie zgodzi... – zaczęła roztrzęsionym głosem. – Ja się nie zgodzę... To przecież oznacza, że go stracimy! I nie mamy żadnej pewności, że to

pomoże Alicji. A jeśli stracimy ich oboje? Przecież ja tego nie przeżyję!

W milczeniu po raz kolejny przeczytała list, podniosła wzrok i wzięła głęboki oddech.

– Dobra – zdecydowała, gryząc nerwowo paznokiec. – Musimy z nim porozmawiać.

Nie rozmawiali. Nie wiedzieli, jak. Adam czuł się z tym podle, ale pewnego dnia po prostu zostawił list w kuchni, niedbale wciśnięty między słoiczki z przyprawami, z nadzieją, że syn znajdzie go i sam o wszystkim zadecyduje, po czym ruszyli z żoną na miasto. Jeździli samochodem bez celu i nienawidzili samych siebie.

Jonasz od razu zwrócił uwagę na leżący na półce papierowy list. Rzadko takie widywał. Zaciekawilo go również logo widniejące w nagłówku – egzotyczny kwiat wtopiony w napis: Okiya Diamentowy Lotos. Niepewnie sięgnął po kartkę i zaczął czytać:

Panie Adamie, bardzo mi przykro z powodu wieści o Państwa córce. Sprawa wydaje się poważna. Po skontaktowaniu się z przelożonymi domu gejsz Okiya Diamentowy Lotos, mogę zaproponować tylko jedno rozwiązanie. Jest to jedyny sposób, w jaki moglibyśmy pomóc. Jeśli Państwa syn, Jonasz Hosala, zgodzi się na naukę właśnie u nas, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby Państwa córka, Alicja, wyzdrowiała. Oczywiście bezpłatnie. Mammy najlepsze placówki nie tylko w Polsce, ale również na całym świecie, oraz najlepszych fachowców. Proszę o odpowiedź. Pozdrawiam. Przemysław Osuch, gejsza ODL.

Chłopak odłożył list. „Jest szansa” – pomyślał zaszokowany. „Wszystko w moich rękach”.

Położył przed sobą komputer i wszedł do Overnetu, żeby poszukać informacji o gejszach. Fascynowali go, ale i niepokoiłi, ci dziwni mężczyźni, którzy zamykali się gdzieś na odludziu na kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt lat i studiowali wszystko, co można było, na temat ludzkiego umysłu. Później wracali odmienieni i służyli innym pomocą. Podobno niektórym ta pomoc wychodziła bokiem... „Dwadzieścia lat w zamknięciu, czy to dużo?”. Gdy dotarło do niego, że to dwa razy więcej, niż ma teraz, przeraził się. „Gdy ja skończę naukę, Alicja będzie dorosła, a rodzice starzy. Przecież ja tam będę

całkiem sam”.

Chodził po mieszkaniu i myślał. Wkurzał go fakt, że wszystko zważyło się na jego głowę, chociaż niby przecież chciał jakoś pomóc. Ale nie tak! To rodzice powinni sprawę rozwiązać. Dlaczego list leżał w kuchni? Może liczyli na to, że go przeczyta? „Czy rodzice na pewno spróbowali wszystkiego? Przecież są dorośli, powinni wiedzieć, co robić!”. A potem znów stanął mu przed oczyma obraz Alicji, coraz chudszej i słabszej, gasnącej na ich oczach, bezbronnej. I już wiedział, co należy zrobić.

Kornelia z Adamem wrócili wieczorem. Nie mieli odwagi spojrzeć synowi w oczy. W końcu mama ukłękła przed chłopcem i ścisnęła jego małe dłonie, mówiąc:

– Przepraszam. Zachowaliśmy się źle. Powinniśmy usiąść i porozmawiać.

– Ale nie wiedzieliśmy, jak – włączył się tata. – Jonasz, nie martw się, coś wymyślimy. Nie chcemy, żebyś poszedł do domu gejsz.

– Nic nie wymyślicie – powiedział. – Zgadzam się. Zostanę gejszą.

Kornelia usiadła na ziemi i schowała twarz w dłoniach, szlochając. „Dlaczego właśnie nas to spotkało?” – pytała w myślach. „Stracę ich oboje. Zostaniemy sami, a Jonasz będzie nas nienawidził do końca życia”.

Chłopak przytulił mamę, Adam dołączył po chwili. Długo klęczeli w salonie objęci i płakali.

*

Rankiem kolejnego dnia Jonasz zalogował się na szkolną platformę. Długo przeglądał wszystkie możliwości do wyboru, z ciekawości wszedł nawet do kategorii „inne”. A może nieświadomie czekał, aż uratuje go jakiś cud? Nic z tego. Cud się nie zdarzył. Zdenerwowany, wytarł spocone dłonie o spodnie i dotknął na ekranie ikonki z napisem „gejsza”. Potwierdził wybór odciskiem palca. Odpowiednia informacja została przesłana do komputerów prawnych opiekunów, czyli biologicznych rodziców. Ci, z ciężkim sercem, potwierdzili wybór.

Reszta przebiegła zatrważająco szybko. Tego samego dnia informacja dotarła do członków komisji. Dyrektor Sikora szeroko otworzył oczy ze zdumienia, ale po chwili poczuł dumę – nikt z jego szkoły nie poszedł jeszcze do domu gejsz. Powiadomił nauczycieli, ci powiedzieli uczniom... Do końca dnia wiedzieli prawie wszyscy znajomi chłopca.

Zawiedziony Michał nie ruszył się nawet z pokoju, gdy Jonasz przyszedł go odwiedzić. Najlepszy kumpel miał zniknąć na dwadzieścia lat, choć wcale nie musiał tego robić! Michał nie miał zamiaru się do niego odzywać. Już nigdy! Jednak gdy Jonasz wytłumaczył motywy, jakie nim kierowały, wszystko stało się jasne. Mamy Michała patrzyły zaskoczone na młodego Hosalę. Lidia objęła go i przycisnęła do swego okazałego ciała, szepcząc, że jest z niego dumna. Patrycja nic nie powiedziała, tylko wytarła mokre ze wzruszenia oczy.

Księga II

W brzuchu wieloryba

Zaczęły się przygotowania do podróży, choć tak naprawdę, Jonasz nie musiał brać ze sobą zbyt wielu rzeczy. Gejsza z Diamentowego Lotosu szybko przekazał im niezbędne wiadomości oraz słabej jakości holosymy, na których mogli zobaczyć dom gejsz w trzech wymiarach, ale niemal wyłącznie z zewnątrz. Wyglądał jak stary tybetański klasztor otoczony lasem. Budulec stanowiły głównie kamień i drewno. Dostali też przykładową umowę, którą od razu wysłali do prawnika. Na drugi dzień otrzymali odpowiedź – wszystko zgodnie z prawem. No i wreszcie bilety, cel: wyspa Ueda.

Wyruszyli rankiem; przed blokiem czekał służbowy samochód z okiyan. Na drzwiach czarnej limuzyny, jeżdżącej na paliwie płynnym, widniało to samo logo, co na pamiętnej kopercie. Adam z zadowoleniem wdychał spaliny, zapach rzadko spotykany na ulicach miast, odkąd zadomowiły się tam elektryczne samochody. Utrzymanie tego smoka musiało kosztować fortunę. Usiedli na siedzeniach wyłożonych prawdziwą skórą i ruszyli na lotnisko.

W porcie lotniczym przeszli boczną bramką i rękawem dostali się do samolotu. Mieli miejsca w pierwszej klasie, gdzie wszystko lśniło i pachniało czystością. Jonasz widział, jak niektórzy pasażerowie patrzyli na nich z ciekawością, a może nawet im zazdrościli.

Po starcie obserwował przez moment malejące w dole miasto. W końcu, trochę osowiały i przytłoczony szybkością biegu wydarzeń, zasnął. Spał przez całą drogę. Kornelia również, zamroczona lekami. Jej fobia nasiliła się w samolocie do granic wytrzymałości. Adam starał się nie panikować i zachować kontrolę nad sytuacją, ale nie miał już sił. Opadł na swój fotel, kompletnie wyczerpany.

Kilka godzin później samolot wylądował na niewielkim lotnisku w Chińskiej Republice Ludowej. Adam otworzył oczy i zdumiał się, że jakaś kobieta mówi do niego po angielsku. Minęła dłuższa chwila, zanim powrócił do rzeczywistości i wygnał resztki snu. Ruszyli do wyjścia.

Przewodnik, który czekał w hali przylotów, powiedział, że wylądowali na jednej z wysp Morza Wschodniocchińskiego, w co trudno było uwierzyć,

bo okolica niewiele różniła się od Silesii. Drzewa, domy, ulice, samochody, nawet droga, którą jechali – wszystko wyglądało podobnie. Adam, choć w pierwszej chwili spodziewał się egzotyki, uświadomił sobie, że przecież większość nowych budynków na Śląsku wybudowały chińskie firmy, zatem nic dziwnego, że przypominają tutejsze. W ogóle miasto wyglądało jak duże, międzynarodowe centrum przeladunkowe. Samochody na ulicach również były chińskie. „Nawet Chińczycy są tacy sami jak u nas” – pomyślał. Razem z przewodnikiem dojechali do przystani, gdzie czekał, gotowy już do drogi, nowoczesny poduszkiowiec.

Jonasz popatrzył na krążące wokół mewy. Krzyczały i walczyły o jakiś smakołyk. Nagle chłopiec zdał sobie sprawę z tego, że nigdy nie jeździł dalej, niż nad Morze Bałtyckie, a teraz, zaledwie w kilka godzin, znalazł się tysiące kilometrów od domu. Spojrzał na port – był ciekaw, jak długo jeszcze potrwa załadunek. Sam nie wiedział, czy to, co czuje, jest bardziej strachem, czy podekscytowaniem. Oto zaczyna nowe życie, inne niż wszystkich osób, które zna. Nie wiedział, co czeka na niego tam, gdzie płynęli. Nie miał pojęcia, co będzie jutro i nawet nie potrafił sobie tego wyobrazić. Nigdy nie wiadomo, co nam przyniesie kolejny dzień, jednak zazwyczaj można się tego przynajmniej domyślać. Teraz nawet domysły nie miały sensu.

Na pokładzie, oddzielnym od morza przezroczystą osłoną, stały w niewielkich grupkach rodziny – opiekunowie co chwilę lekko dotykali dzieci lub obejmowali je, jakby chcieli się upewnić, że wciąż z nimi są. Sądząc po rysach twarzy i kolorach skóry, podróżni pochodzili z różnych zakątków świata. Młody Hosala był ciekaw, czy inni chłopcy również boją się tak jak on, a Kornelia z niesmakiem zastanawiała się, czy inni rodzice mają takie samo poczucie winy.

Zwiększono ciśnienie w poduszkach promu i uruchomiono silniki. Pojazd wytoczył się powoli z portu, a na otwartym morzu ruszył pełną mocą. Mewy odleciały w popłochu.

Po dwóch godzinach zauważyli na horyzoncie ciemnozieloną plamę. Powiększała się leniwie, aż w końcu mogli dostrzec szczegóły wyspy – płynęli w kierunku miasteczka, szara kreska zabudowań leżała na granicy wody i zielonych wzgórz. Ich kolor przybierał na intensywności wraz z każdą pokonaną milą morską. Po chwili dojrzeli wygięte w łuk dachy budynków, pokryte ciemnymi dachówkami. Prom zwolnił, podpływając do nadbrzeża. Jonasz

dostrzegł nazwę wyspy namalowaną na betonowym pomoście – Ueda. Przeszedł go dreszcz strachu.

Hosalowie wzięli bagaże i zeszli z trapu. Kornelia z ulgą stanęła na twardej podłodze. Gdy silniki poduszki zgasły, ogarnęła ich błoga cisza. Stali i patrzyli w stronę miasteczka. Tam toczyło się życie – ludzie gdzieś chodzili, klócili się, śmiali. Uliczką przejechała staromodna riksza. Rozbawione dzieci przybiegły do portu i wpatrywały się w przybyszów z ciekawością.

Zza jednego z portowych budynków wyłonił się człowiek ubrany w strój podobny do tego, który nosił Osuch. Mężczyzna kroczył dumnie i pewnie, jakby był właścicielem całego miasteczka, a może nawet i wyspy. Podszedł do Hosalów.

– Witam na wyspie Ueda oraz w miasteczku Ueda. – przywitał gości ładną angielszczyzną. – Nazywam się Paul Graham, jestem gejszą z Okiya Diamentowy Lotos. Przed wami ostatni odcinek drogi. Proszę za mną. Tak. – ostatnie słowo wtrącał co jakiś czas, jakby dla pewności, choć Jonasz nie był pewien, czy to czasem nie jest jakaś językowa maniera, albo nawet werbalny tik.

Podnieśli toboly i ruszyli za gejszą. Weszli na plac, gdzie stały... trzy czarne karety zaprzężone w konie. Obok czekali woźnicy. Na zdziwionych twarzach przybyszów zagościły uśmiechy niedowierzania. Boki pojazdów zdobiły herby okiia. „Prawdziwe konie!” – pomyślał Jonasz. Zafascynowany patrzył, jak zwierzęta przestępują z nogi na nogę i oganiają się długimi ogonami.

– Pozwólcie, że wytłumaczę – powiedział Paul. – Na wyspie istnieje bezwzględny zakaz używania elektryczności i pojazdów mechanicznych, oczywiście poza domem gejsz i częściowo poza tym miasteczkiem. Tak. Względny bezpieczeństwa – dodał dobitnie, jakby chciał zdusić w zarodku ewentualne protesty.

Wsiedli do jednej z karek. Ostry zapach zwierząt wwierał im się w nosy, resory sapnęły cichutko. Mężczyźni, idący do tej pory za gejszą, wskoczyli zręcznie na kozioł i popędzili konie. Pojazdem szarpnęło.

Jonasz siedział przy oknie. Wystawił głowę na zewnątrz i patrzył na zwierzęta. Wyraźnie widział, jak pod skórą pracują ich mięśnie, gdy wciągały pojazd pod górę. Od czasu do czasu konie głośno chrapały, co wydało się chłopcu bardzo zabawne.

Popatrzył na okolicę. Wzdłuż zbocza rósł gęsty las – chyba jeszcze nigdy nie widział tak bujnej zieleni. Chłodne powietrze przyjemnie owiewało twarz. Jonasz z ciekawością obserwował, jak wyskakujące spod kół kamyki znikają w trawie. Woźnica okrzykami poganiał zmęczone konie.

Po godzinie wyjechali na otwarty teren, mijali domy, zagrody i warsztaty; wydawało się, jakby czas, z niewiadomych przyczyn, przeoczył ten kawałek świata.

W połowie drogi wypatrzyli cel podróży – masywne zabudowania domu gejsz.

Okiya Diamentowy Lotos.

Kornelia i Adam, jak na komendę, spuścili wzrok.

Zatrzymali się niedaleko wrót. Jonasz wysiadł, spoglądając ukradkiem na chłopców w różnym wieku wyjmujących bagaże z podobnych pojazdów, ale w końcu jego wzrok przyciągnęła przytłaczająca budowla. Ogarnęły go wątpliwości. Gdzieś w głębi serca chłopca tliła się nadzieja, że jednak rodzice nie pozwolą mu tu zostać. Gdy stanęli za jego plecami, zdenerwowany pomyślał, że z tego miejsca łatwiej im będzie go wypchnąć. Zaraz potem odsunął niedorzeczne myśli. „Przecież oni nie chcieli, żebym tutaj przyjeżdżał!”. Spojrzał na podróżnych, krzątających się wokół karet. Nie zauważył ani jednej dziewczyny – zawód gejszy nie był dla nich.

Dróżka, na której stali, prowadziła pod wrotami torii – słupami udekorowanymi kaligrafia i zwieńczonymi dwiema poprzecznymi belkami. Dawniej wierzono, że siadają tam ptaki, które wysłuchują ludzkich prośb, a potem zanoszą je bogom. Portal ten podobno oddzielał świat skończony od świata nieskończonego. Wryto na nim słowa jednego ze starożytnych mistrzów: „Moment spotkania jest zawsze początkiem rozstania”.

Zza bramy dobiegał niepokojący, nierówny i wciąż narastający dźwięk bębna – przyspieszał chaotycznie, niczym stado spłoszonych antylop, po czym zwalniał. Nagle instrument ucichł. Wrota uchyliły się – najpierw zobaczyli stopę odzianą w damski bucik, a później wyjrzała głowa. Na widok śnieżnobiałej twarzy, ust w kolorze krwi i kruczoczarnych włosów zaczesanych gładko przy skórze, niektórzy chłopcy schowali się za rodzicami i stamtąd zerkali lękliwie. Kilku zapłakało.

Jonasz także się bał, choć wiedział, kim jest ten dziwny człowiek. To blazen – taikomochi. Widział podobną postać na zdjęciach w Overnecie.

W artykule napisano, że w każdym okiya jest taki blazen, choć nie wyjaśniono, czym się dokładnie zajmuje. Chłopak pamiętał jednak dość dobrze charakterystyczny makijaż taikomochi z Okiya Drewniana Łódź na fotografii ilustrującej artykuł o gejszach.

Upiorna postać wyszła zza wrót i znów zaczęła grać na przytroczonym do pasa bębnie; pokracznie skradala się w stronę przyjezdnych i szczyrzyła zęby lub wywalała zielony jęzor. Na ten widok nawet rodzice przyszyłych uczniów zareagowali nerwowo. Jonasz stał naburmuszony, żalując, że tu przyjechał. Taikomochi walił w instrument i płał pomiędzy gośćmi, przystając na moment przed każdym z chłopców; wtedy patrzył im dzikim wzrokiem głęboko w oczy, jakby znalazł ich wszystkie wstydlive tajemnice. Coraz więcej szlochów rozbrzmiewało przed wejściem, niczym podczas ceremonii pogrzebowej.

Taikomochi właśnie tańczył ciężko przed młodym Hosalą, gdy nagle zamarł w połowie kroku. Z nogą uniesioną w powietrzu wyglądał jak demon, który pragnie rozdeptać świat. Wszyscy bezwiednie wstrzymali oddechy. Jonasz opuścił głowę, lekko przymknął oczy i zacisnął pięści.

– Aaaargh! – wrzasnął blazen, tupiąc mocno i jednocześnie waląc w bęben. Chłopak wzdrygnął się, zrobił krok do tyłu, ale nie zapłakał.

Taikomochi wrócił za bramę i ruchem pełnym kobiecego wdzięku kiwnął na przybyłych. Kilkanaście osób posłusznie przekroczyło wrota oddzielające światy.

*